

## Kozak Magdalena

### Strój

Z oficjalnej strony internetowej autorki: <http://www.nocarz.pl/category/tworczosc>

Pierwotnie opowiadanie zostało opublikowane w *Esensji* nr XL, październik 2004

Zimą wieczór zaczyna się o szesnastej. W lato o tej porze jeszcze pół dnia by zostało... A tutaj już o czwartej ciemno, paskudnie i tylko śnieg sypie zawzięcie. Dzień się skończył, pora iść spać. Albo oddać się pierwszemu lepszemu zajęciu domowemu. Prać, prasować, gotować lub sprzątać. Taki czas.

Tym razem Alicja wybrała sprzątanie. Czasami trzeba zrobić trochę porządków. Nawet jeżeli samo słowo "sprzątanie" brzmi bardziej przerażająco niż wszystkie wojny światowe, trzęsienia ziemi i powodzie razem wzięte. Ano, bliższa koszula ciału, wiadomo, a że żadnej wojny nie było już dawno, to się zapomina. A sprzątać trzeba co dzień.

Nie jest tak źle, w porządku też można się wciągnąć. Alicja włączyła radio, muzyka rozhuściła ją od razu, dodała sił. Kuchnia, raz. Łazienka, dwa. Pokój, przedpokój, trzy i cztery. Mieszkanie już lśni, ale wola walki wciąż jest. Co by tu jeszcze, co by tu...

Stare szpargały. Może być.

Wdrapała się na szafę, z trudem ściągnęła stary kufer. Całkiem niedawno przysłała go jakaś daleka ciotka, zwariowana na punkcie odgrzebywania starych więzi. Jedna z tych, co to ślęczą nad drzewami genealogicznymi, a potem na zjazdach rodzinnych triumfalnie obwieszczają, kim był stryj babki wuja żony kuzyna. Alicja bynajmniej nie dzieliła z ciotką tej pasji, więc otrzymawszy kufer, wepchnęła go czym prędzej na szafę.

Pędzej czy później trzeba się jednak zabrać do tych kłopotów. Nie daj Boże jeszcze tam coś zgnije. To już lepiej przejrzeć...

Otworzyła kufer, usiadła na podłodze po turecku. Tak będzie najwygodniej.

Zamrugła oczami, na początku zdziwiona, potem z coraz większym zachwytem. Wstała. Powoli, drżącymi rękami, wydobyla z kufra... strój.

Przepiękna, prześliczna rzecz. Aż zabrakło jej tchu.

Strój mienił się soczystą zielenią, połyskiwał złotem. Delikatny, ręczny haft snuł kolorową nicią przedziwne historie. Długa do ziemi suknia wyglądała jak nowa. Jakby ząb czasu nie miał odwagi naruszyć jej nieskazitelnej piękności.

– Oj, ciociu, ciociu... – wyszeptwała Alicja, oczy jej błyszczały. – Chyba się nawrócę na to twoje hobby.

Szybkimi ruchami zrzuciła z siebie bluzę, ściągnęła spodnie. Zawahała się jeszcze przez chwilę... Wreszcie delikatnie, powoli, nałożyła na siebie strój.

*Miała w sardzie strój bogaty,*

*Malowany w różne światy,*

*Że gdy w nim się zapodziała,*

*Nie wędrując – wędrowała.*

*Strój koloru murawego,*

*A odcienia złocistego -*

*Murawego – dla murawy,*

*Złocistego – dla zabawy. \*)*

Alicja podbiegła do lustra. Klasnęła w dłonie z zachwytem, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi.

Była po prostu piękna.

Suknia leżała na niej idealnie. Podkreślała szczupłość talii, miękko układała się na krągłościach bioder, z szelestem opadała na ziemię, delikatnie gładząc końce stóp. Malachitowa zieleń stroju wspaniale kontrastowała z czerwienią ust dziewczyny. Złote błyski materiału wydobywały tajemniczy ogień z głębi jej czarnych oczu, rozbiegały się w drogocennych refleksach po burzy ciemnych włosów.

Alicja wyglądała w tym stroju przepięknie.

Burza śnieżna na dworze jakby zdwoiła swój zapał, wirujące płatki śniegu zupełnie oszalały. Wiatr uderzył w okno, jego lekki powiew zaszeleścił wnet w mieszkaniu, nieznacznie unosząc firankę. Dziewczyna obejrzała się ku niemu, oczarowany uśmiech nie schodził jej z warg.

Wiatr zaczął przemykać się po mieszkaniu, powoli, delikatnie. Poruszył liśćmi róży chińskiej, przebiegł po frędzlach serwety. Wreszcie dotarł do Alicji. Nieśmiałą pieszczotą, niczym pocałunkiem, owionął jej ciało. Wplótł się w materiał stroju, załopotał nim cicho. Potem chwycił jej włosy, bawiąc się nimi przez chwilę. Wreszcie musnął jej usta delikatnym, zwiewnym pocałunkiem.

Roześmiała się perliście, potrząsnęła włosami. Sięgnęła ku nim, rozpięła je i rozsypała na ramionach.

– Ojej... – wyszeptwała, na twarz wypełził jej rumieniec. – Ojej.

*Zbiegło się na te dziwy aż stu planetników,*

*Otoczyli ją kołem, nie szczędząc okrzyków.*

*Podawali ją sobie z rąk do rąk, jak czarę:*

*"Pójmy duszę tym miodem, co ma oczy kare!"*

*Podawali ją sobie z ust do ust na zmiany:*

*"Słodko wargą potłoczyć taki krzew różany!"*

*Porywali ją naraz w stu pieszczot zawieję:*

*"Dziej się w tobie to samo, co i w nas się dzieje!"*

Muśnięcia wiatru z chwili na chwilę stawały się coraz bardziej zachłanne i natarczywe. Unosiły jej włosy, targały za suknię, gładziły nagie ramiona z kilku stron naraz. Jakby nie jeden wiatr, lecz sto różnych jego porywów jednocześnie domagało się pieszczoty. Alicja czuła, jak bicie serca przyśpiesza, policzki płoną coraz goręcej, a gdzieś tam wewnątrz narasta szalone, pożądliwe oczekiwanie. Poddała mu się więc, roześmiana, rozpalona. Rozsznurowała dekolt. Wspięła się na palce i zaczęła wirować, drepcząc w miejscu bosymi stopami. Uniosła ręce, odchyliła głowę. A wiatr gładził ją, całował i pieścił, nienasycenie, wciąż i wciąż.

*Dwojgiem piersi ust głodnych karmiła secinę:*

*"Nikt tak słodko nie ginął, jak ja teraz ginę!"*

*Szła pieszczota kolejną, dreszcz z dreszczem się mijał,*

*Nim jeden wypił do dna – już drugi nadpijał.*

*Kto oddawał – dech chwycił, a kto brał – dech tracił,*

*A kto czekał za długo – rozumem przypłacił!*

*Sad oszalał i stał się nie znany nikomu,*

*Gdy ona, jeszcze mdlejąc, wróciła do domu.*

Budzik zadzwonił jak zwykle, o siódmej.

Alicja ocknęła się powoli, wróciła do rzeczywistości.

Leżała naga na łóżku, całe ciało przepełnione było dziwną słodyczą. Suknia leżała na ziemi, porzucona w nieładzie.

– Ojej – jęknęła Alicja, przeciągnęła się... i roześmiała cichutko.

Na twarzy wykwitł jej rumieniec na samo wspomnienie wczorajszego wieczoru. Stało się coś dziwnego, coś niepokojąco dziwnego. A jednocześnie nie miała zamiaru się z tego powodu martwić. Było jej tak dobrze, tak nieskończenie dobrze...

Zerwała się szybko z łóżka. Czas już do pracy, czas, czas.

*Miała w oczach ich zamęt, w piersi – ich oddechy,*

*I płonęła na twarzy od cudzej uciechy!*

*"Jakiż wichur warkocze w świat ci rozwieruszył?"*

*"Ach, to strzelec – postrzelec w polu mnie ogłuszył!"*

*"Co za dreszcz twoim ciałem tak żarliwie miota?"*

*"Śniła mi się w śródleciu burza i pieszczota!"*

Maciek, informatyk, pierwszy spostrzegł jej rozognione policzki.

– Hej, co ci, nie przeziębiłaś się? – rzucił wesoło.

Odwróciła się ku niemu z nieobecnym uśmiechem.

Popatrzył na nią... i jakiś dziwny skurcz zagościł mu w łędzwiach. Jakby przelała się na niego odrobina jej żaru i napełniła go tęsknotą. Przez myśl przebiegło mu, że tak dawno już nie kochali się z żoną, tak ogniście, tak namiętnie... Potrząsnął głową, przywołując się szybko do porządku. Takie myśli niepotrzebnie burzą spokój pracowitego dnia.

– Uważaj na siebie! – mruknął i podreptał pośpiesznie w kierunku serwerowni.

Alicja przemknęła do swojego pokoju, usiadła za biurkiem. Sprawdziła pocztę. Nowy projekt, znów masa roboty. Spojrzała w roztargnieniu za okno. Wiatr hulał swobodnie, kapryśnie wyginając bezlistne gałęzie drzew. Białe chmury kłębiły się tłumnie na olśniewającym błękitcie.

– Dostałaś ten nowy projekt – pukanie do drzwi nie leżało w naturze Eweliny, jak zwykle władowała się do jej pokoju bez pytania. – Tak, wiem, nic mi nie mów – uciszyła Alicję władczym ruchem ręki. – Być może na początku będziesz trochę przeciążona. Ale rozumiesz przecież, musimy być elastyczni.

Alicja popatrzyła na nią w milczeniu, rezygnując z jakiegokolwiek oporu. Przeniosła wzrok za okno – tam, gdzie tak beztrąsko razem z chmurami bawił się wiatr.

Ewelina popatrzyła na nią uważnie. Coś było dziwnego w tej podwładnej, coś nowego pojawiło się w niej, i to całkiem niedawno. Zawsze taka rozgadana, a teraz milczy, uśmiecha się, patrzy w dal... Zakochana czy co? Byleby tylko nie zawałiła projektu.

A swoją drogą, kiedy to ostatnio sama Ewelina miała taki dziwny, trochę nieobecny wzrok? Kiedy tak powłóczyście patrzyła na męża? Dawno już, dawno... chyba.

Ta myśl nie była przyjemna. Szefowa zmarszczyła brwi, ośwładnęło ją zmieszanie, potem nagła złość. Wyszła więc z pokoju, nie wdając się w dalsze wyjaśnienia.

Alicja zaś wciąż wpatrywała się w okno, z dojmującą tęsknotą obserwując wciąż szalejący razem z chmurami wiatr.

I czekała. Czekwała, aż nadejdzie wieczór, a ona wróci do domu i znowu nałoży na siebie ten przepiękny strój.

*Mać ją, płacząc, wyklęła – ojciec precz wyrzucił,*

*Siostra łokciem skarciła, a brat się odwrócił.*

– Co się z tobą dzieje, dziewczyno! – w głosie matki słychać było autentyczne wzburzenie. – Nie sposób się do ciebie dodzwonić!

Alicja pokiwała głową odruchowo, robiąc skruszoną minę, choć przecież matka nie mogła tego widzieć przez telefon.

– Bardzo zajęta jestem, mamó. – odpowiedziała pokornie. – Dużo mam pracy, rozumiesz...

– Wszyscy mają dużo pracy – przerwała jej matka kategorycznie. – Takie czasy. To jeszcze nie powód, żebyś tak zaniedbywała rodzinę. O nic cię nie można prosić, naprawdę. Miałaś pojechać do ZUS-u, dowiedzieć się, o co chodzi z tą babci emeryturą. I jeszcze pojawić się w Urzędzie Skarbowym, zgłosić nasze nowe dowody. Ojciec będzie wściekły, zobaczysz. Wiesz przecież, że nie możemy tego zrobić sami, oboje jesteśmy bardzo zajęci...

– Tak, tak. – Alicja westchnęła. – Pracujecie, wiem. Nie to, co ja.

– Nie bądź bezczelna – ofuknęła ją matka natychmiast. – I odezwij się do Marka, dzwonił do mnie i skarżył się, że źle go traktujesz. Że go olewasz ostatnio, nie dzwonisz, nie umawiasz się z nim na spotkania. Czyś ty oszalała, myślisz, że taki mężczyzna jak on pozwoli ci na takie lekceważenie? Stracisz go i nigdy nie wyjdiesz za mąż, zobaczysz. A ja się będę do końca życia wstydziła, że mam taką córkę... I miej tu dzieci, po co ja się tak poświęcałam...

– Muszę już kończyć, mam – powiedziała Alicja pośpiesznie, widząc Ewelinę na progu swojego pokoju. – Zdzwonimy się. Pa.

Dookoła szefowej szalał istny sztorm.

– Co się z tobą dzieje, dziewczyno! – wykrzyknęła. – Zewsząd dochodzą do mnie narzekania. Ciągłe jesteś jakaś nieprzytomna, nie odpowiadasz na maile, spóźniasz się z terminami. Jeśli tak dalej pójdzie, wpiszę ci naganę do akt.

Alicja popatrzyła na nią... i nagle coś w niej pękło, przełamało się. Wiatr łopotał o szybę, jakby w proteście. Nie pozwól się tak traktować, maleńka. Nie tak.

– Mam w kontrakcie czterdzieści godzin pracy tygodniowo – rzuciła nagle twardo i zdecydowanie. – A siedzę co najmniej po sześćdziesiąt. I wciąż nie mogę się uporać z robotą. Nie sądzisz więc, że naganę powinien raczej dostać ktoś, kto gospodaruje zasobami ludzkimi w ten sposób?

Ewelinę zatkało. Popatrzyła na podwładną, na wciąż czający się w kąciakach jej ust ślad tego nieobecnego, rozkosznego uśmiechu. Przypomniała sobie, jak przytuliła się wieczorem do męża... A ten odwrócił się na drugi bok, odtrącając ją niechętnym, grubiańskim ruchem ręki.

– Zastanów się dobrze nad tym, co mówisz – wysyczała z jadem w głosie. – Wiesz, jaki jest rynek pracy, prawda? Więc radzę ci dobrze, zastanów się.

Wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami i wiedząc doskonale, kto jest następny w kolejce na jej liście osób do zwolnienia. Alicja nie potrafi przecież pracować w zespole. Uśmiecha się tylko i patrzy w okno, najwyraźniej ma swoje własne, niezrozumiałe priorytety. I cały czas emanuje tym przedziwnym rodzajem spełnienia, które z pewnością osłabia morale zespołu. Nie można tego tolerować, nie tu.

*A kochanek za progiem z pierścieni ograbił,*

*I nie było nikogo, kto by jej nie zabił.*

*I nie było nikogo, kto by nie był dumny,*

*Że ją przeżył, gdy poszła wraz z hańbą do trumny.*

Miała na sobie znowu ten piękny, bogaty strój. Wirowała w tańcu, wokół niej migotały zachwycone płomyki świateł.

Setki powiewów wiatru miłośnicie gładziły jej rozpaloną skórę. Jak najczulsze dotknięcia kochanków, delikatnie kobiece, zaborczo męskie... Były wciąż dookoła, bezustannie sunęły razem z nią.

Za oknem szalała śnieżycą, białe gwiazdki to opadały, to się unosiły, porywane niezmiennie zakochanym w nich wiatrem.

Aż wreszcie okno otworzyło się, ustępując pod silnym, zdecydowanym pchnięciem burzy. Płatki śniegu wtargnęły do mieszkania, z sykiem gasząc ustępujące przed nimi trwożnie języki świateł.

– Chodź do nas, chodź... – rozległ się cichy, namiętny szept.

Alicja podbiegła do okna. Uniosła dłonie, odchyliła głowę, pozwalając, by teraz całował ją zachwycony śnieg.

– Chodź do nas, chodź... – zabrzmiało znów czułe zaproszenie. – Dołącz do nas, właśnie ty... Jeden z nas odszedł, potrzebujemy cię... Wysłaliśmy ci przecież strój.

Uśmiechnęła się, pokiwała głową ze zrozumieniem. Wspięła się na parapet, popatrzyła na kłębiące się tuż nad blokiem chmury. Roześmiała się, przepełniona wdzięcznością. A więc to taki rozkoszny, cudowny, pełen miłości i tańca, to taki piękny czekał ją los.

Pobiegła więc przed siebie, pomiędzy wirujące płatki śniegu, nie kłopotząc się już o nic. Dołączyła do swoich... Nareszcie tak nieodparcie kochana, tak cudownie bezpieczna.

Stu planetników popędziło dalej w swój zaklęty tan.

*Tylko Bóg jej nie zdradził i ślepo w nią wierzył*

*I przez łzy się uśmiechał, że w niebie ją przeżył.*

*"Ty musisz dla mnie polec na śmierci wezglowiu,*

*A ja muszę dla ciebie trwać na pogotowiu!*

*Ty pójdziesz tą doliną, gdzie ustaje tkanie,*

*A ja pójdę tą górą na twoje spotkanie.*

*Ty opatrzysz me rany, ja twych pieaszczot ciernie,*

*I będziem odtąd w siebie wierzyli bezmiernie!"*

– Nie pochowamy samobójczyni – głos księdza był twardy, zdecydowany. – To grzech śmiertelny, proszę pani. I nie widzę tutaj tematu do dalszej dyskusji. Żegnam. – odłożył słuchawkę.

Siostra z matką popatrzyły po sobie w desperacji.

– No, to pochowamy ją po cywilnemu – westchnęła matka wreszcie, ocierając chusteczką łzy. – Jak ona mogła mi to zrobić, niewdzięczne dziecko.

– Nie płacz, mamó – powiedziała jej córka, poklepując ją po ramieniu. – Może jej lepiej tam, gdzie teraz jest. A z tym księdzem, to trudno, nie chcą, to nie. Cywilny pogrzeb też jest ładny, naprawdę.

Matka wytarła nos, wyciągając kolejną chusteczkę.

– Pochowamy ją tak, jak jest, w tej zielonej sukience – oznajmiła. – Nie będziemy jej przebierać przecież. Co jej wpadło do głowy, żeby paradować w czymś takim? I skąd ona wzięła tę okropną rzecz?

– Nie wiem – powiedziała córka, wzdychając. – Naprawdę nie wiem. Ale zawsze była dziwna, to fakt. Ale może ta sukienka była dla niej ważna, skoro to w niej właśnie... zrobiła ten krok.

– To pochowamy ją tak, jak jest – odezwał się milczący dotąd brat.

Ojciec i narzeczoncy pokiwali głowami w milczeniu.

Niechże Alicja leży w tym stroju... skoro to tak właśnie miało być.

Wiatr uderzał w okno, zawodząc swą ponurą, żalobną, rozplakaną pieśń.

Nie słyszeli, że chwilami w tej pieśni pobrzmiewał wesoły, figlarny, roześmiany ton, który dochodził jakby z chmur.

*Miała w trumnie strój bogaty,*

*Malowany w różne światy,*

*Że gdy w nim się zapodziała,*

*Nie wędrując – wędrowała.*

*Strój koloru murawego,*

*A odcienia złocistego -*

*Murawego – dla murawy,*

*Złocistego – dla zabawy.*

---

\*) Bolesław Leśmian "Strój"